

Samosiejka.

Macieja nie tyle przygarbiły przeżyte lata, co upływający czas, bez podzielenia się sobą, i dni znosił w milczeniu, w przygarbieniu pleców, które nie chciały się wyprostować. Od dawna przestał wsłuchiwać się w to, co ona miała do powiedzenia, jakby z zemsty, że nigdy nie zadała sobie trudu, aby posłuchać tego, co było przeznaczone wyłącznie dla niej. Po latach zanikła ta potrzeba, nie pragnął już, aby go pojęła, do niczego na stare lata by mu się to nie przydało. Garb już urósł, przybliżał do ziemi. Do tej ziemi, którą sobie umiłował, którą wybrał dla nich, by na niej móc się dzielić, aż ziemia podzieliła. Zapragnął fragmentu tej krainy, tak mocno jak jej, kiedy po raz pierwszy ujrzał. Teraz widział, że ziemia odwdzięcza mu się, kiedy opiekuje się nią z troską, i owocuje, kiedy o niej pamięta. Nie zapomina o nim, jak ona zapomniała. Wiele razy, uciekając w las, by schować się przed lawiną słów, i posłuchać ciszy, myślał o swoim życiu. Ile mu go jeszcze zostało, jak wiele pozwolił go sobie odebrać. Nie rozliczał się z nikim, prócz z sobą. Las stał się jego kaplicą, i choć nie spotykał w nim Boga, to czuł jego obecność. Widział go w każdym drzewie, chował się pod ściółką, szumiał w trawie, głaskał stary policzek wiatrem, szeptał do ucha, przenikał, i pocieszał. Tam, w lesie, wyprostowywał się, zrzucał ciężar, który nosił na plecach. Tam, czuł się rozumiany, i pozbywał się potrzeby zrozumienia. Spokój, który spływał na piersi, zdawał się trwać wieczność całą, i z ciężkim sercem przychodziły mu powroty do tego, co otwierało się za lasem, i co zamykało przed nim. Przed czym chroniły drzewa, i odgradzała ziemia, która nie potrzebowała tak wiele słońca, jak tam. Ta zadowalała się słabymi promieniami przebijającymi między konarami gałęzi. To jej wystarczało, tak jak jemu. Tu poznał innego Boga, i dziwił się, że choć Bóg tyle ma twarzy i przemawia się w jego imieniu wszystkimi językami, to tu, w tym jego lesie, nikt nie musi w jego imieniu mówić. Tu on sam przemawia. Rozumiał drzewa, wsłuchiwał się w to, co mają mu do powiedzenia, i zwierzał się im z siebie. Strach opuszczał Macieja, odchodziły dolegliwości, które trzeba było codziennie smarować maścią, i lat ubywało. Zatracał poczucie czasu. Czasu nie było, on sam przestawał być, a na powrót się stawał. Powroty do świata przychodziły mu z coraz większą trudnością. Myślał o tym, że może by tak zostać, zasiedzieć się, i zaczekać na to, co i tak nadejdzie. Z ociąganiem kierował się jednak w kierunku, który pokazywał drogę do domu, i żałował, że zna ścieżkę. Że nie zapomniał. Las go nie oszukiwał, nie mamił podszeptami, nie kusił. Był prawdziwy, a i on odwzajemniał mu się tym samym, i prawdziwym się stawał, dopóki nie wychodził z niego. Tam, poza lasem, Maciej stawał się inny, i dla Macieja wszystko, innym się stawało.

Las znał jego tajemnice.

Tego dnia długo ociągał się z powrotem. Coś go wołało, ciągnęło jeszcze bardziej w głąb lasu. Słyszał nawoływania, chciał zostać na dłużej, porozmawiać z brzozą, pozbierać chrustu na opał do kominka, zapatrzeć się w dal między drzewami, co zamykała się jak ramiona, i obejmowała, zaledwie kilkoma krokami do pokonania, do uchwycenia, zatrzymania tej bliskości. Coś mu podpowiadało, że powinien jeszcze zostać. Coś zatrzymywało, nie chciało puścić. Przystanął, i pomyślał, że las chce się z nim pożegnać. Poczul jak opuszczają go siły. Wiedział, co to oznacza. Nadchodził czas, kiedy to on, musi się z nim pożegnać.

Ona czekała na niego długo z obiadem, który już dawno wystygł, a Maciej nie wracał. Przepęłniał ją strach, i zastygła tak w tym oczekiwaniu na taborecie, który dawał jej złudne poczucie bezpieczeństwa. W jakiś cudowny sposób odpędzał nieuniknioną. Tą nieuchronność, której podejrzenie wdarło się w nią, rozszywając. Od dawna przestała pojmować, co się z nim działo. Czasem wydawał się jej obłąkany, kiedy próbował odczytać niepojęte dla niej hieroglify. Mamrotał przy tym do siebie niezrozumiałe słowa, które brzmiały tak obco, z tych znajomych ust. Od lat poświęcił się odczytywaniu alfabetu drzew.

Wstydziła się przed całą wsią za niego. Nie umiała ukryć się przed tym wstydem, jak za chustką, którą zawiązywała pod brodą. Siedział całymi dniami przed domem, i przecinał drewniane bale, albo godzinami błakał się, tracąc poczucie czasu, w lesie. To szaleństwo tak nim zawładnęło, że wszystko inne przestało mieć znaczenie. Kochała jednak tego starego wariata, i nie dopuszczała do siebie myśli, że pewnego dnia, wszystko się skończy. Czymże było, to wszystko? Czy to ten jabłkowy sad, w którym czuła się kawałkiem owocu, unoszącym się na powierzchni cudownego kompotu? Czy to ten rozpościerający się zaraz po przebudzeniu, widok na kładkę dotykającą spokojnej tafli jeziora, w którym Maciej, co rana zarzucał wędkę? Czy to ten zaczarowany i tajemniczy las, zasłaniający jej często, horyzont? Czy to, to rozgwieżdzone niebo, w które już od dawna przestała spoglądać? Czy to on? Sam Maciej. Jej mąż, którego pomimo niezrozumienia, nie przestała obdarzać miłością? Czym było dla niej, to wszystko? Bała się w tej chwili, że lada moment, coś z tego wszystkiego, przyjdzie jej utracić.

Maciej nie wrócił nigdy do domu. Co wieczór czekała na niego z kolacją, i co wieczór jadła w samotności, wypatrując go z zapadającego w ciemnościach kształtu. Odnajdywała tam jego ślady. Coraz częściej oddalała się, wchodziła głębiej w las. Wdychała zapach żywicy, i wtedy czuła, że się zbliża. Nie otwierała oczu, by go nie spłoszyć. Czuła, że las zna jego tajemnicę. Teraz to ona, zapragnęła ją poznać.

Na lotnisku w Gdańsku wynajęłam samochód, i udałam się w kierunku małej wsi. Jadąc, wpatrywałam się w bezchmurne niebo, i coraz bardziej oddalałam się od tego, przed czym uciekałam. W ciszę, do malachitowych odcieni, i utulających powiewów liści, którymi przemawiają drzewa. Dobijałam do celu, otoczona obecnością towarzyszącego mi w tej drodze, lasu. Wsluchana w cichą muzykę, dobiegającą z radia, i podziwiając dziewiczość mijanych krajobrazów.

Dojeżdżając do wsi, w której wynajęłam mały domek, poczułam ukłucie w sercu. Krótkie wspomnienie dzieciństwa. Złociste łany pszenicy, uginające się pod ciężarem splecionych warkoczy, targane przez wiatr, jak młode dziewczę wiedzione niewinnością za włosy. Polne kwiaty obsypały łąkę, nadając jej prostoty, która zadziwiała swoim zapierającym dech w piersiach, pięknem, a przydrożne krzyże przypominały o ulotności życia. Zbliżając się do kresu swojej drogi, minęłam starą i przekrzywioną tabliczkę z nazwą miejscowości. Grzybowo. Chociaż nigdy wcześniej tu nie byłam, poczułam, jakbym nigdy nie opuszczała tego miejsca. Było mi znajomo bliskie. Zamyśliłam się. Wiedziałam, że to, przed czym pragnę uciec, chowając się w lesie, i tak mnie dogoni. Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie mogłabym się przed tym ukryć. A tak chciałam odpocząć. Pod rozłożystym drzewem, przyłożyć policzek do wilgotnego mchu, pocieszyć się myślą, że jest coś tak pięknego, co korzeniami głęboko stałością ulotność i zmienność, szemraniem odpędza. I w swoim cieniu, mój cień wita, nie wywyższając się nadto, choć gałęzie wysoko wzbija, pomrukując przy tym lekko. - Jakże tu pięknie. - Pomyślałam zachwycona. Niewielki, letniskowy, drewniany domek, stał nad samym jeziorem, a po drugiej stronie wylewały się, niczym morze na piaszczystą plażę, majestatyczne i dostojne drzewa. Odbijały się w niezmąconej tafli jeziora, które z

rozpogodzonym czołem, unosiło opadające liście. Z zielonych brzegów, dochodziła najpiękniejsza muzyka, jaką do tej pory słyszałam. Ptaki świergotały beztrosko, i radośnie, wijąc swoje gniazda, a niebo łączyło się w czułym uścisku ze szczytami zadartych wierzchołków gór. W czasie spacerów, często spotykałam błakającą się kobietę, która nieobecny wzrokiem, zapatrzonym przed siebie, wydawała się nie wokół siebie nie dostrzegać. Jej czujność skierowana była w stronę, której nie umiałam uchwycić. Zdawała się czegoś szukać, i tęsknym wzrokiem wypatrywała czegoś między drzewami. Pomiedzy nimi ja za to, wypatrywałam kojącej spokojności. Cichło we mnie wszystko, opadając łagodnie, zanurzając się w taflę jeziora, nie wypływając więcej na powierzchnię. Między drzewami, zaczęłam spotykać siebie, i poznawać na nowo. Wyłaniałam się, wychodząc z ukrycia, z kryjówki, stworzonej by chronić przed ludźmi, aż nie wiedzieć, kiedy, przede mną samą tak szczelnie, odgrodzić umiała, nie dopuszczając do tej kruchej prawdziwości, unoszącej się najczęściej pomiędzy snem, a jawą. Byłam, więc jak ta zjawą, duch, pomiędzy drzewami, poszukujący. Nie sensu, bo ten, wydaje się bez szans na odnalezienie, a części siebie zagubionej, która chowała się we mnie, prześwitując, jak te promienie słońca, próbując się przebić. Słuch odzyskiwałam, nadziwić się nie mogąc odgłosom, które wydawał las, oddychając, w westchnieniach cichych, niegłośnych, bez krzyków niepotrzebnych, nie chcąc uwagi zbytnej na siebie zwracać, stopiony z miejscem, i pogodzony ze swoim przeznaczeniem. Myślami błdziłam, a te, opadały jak liście, unosząc się jeszcze przez chwilę na wietrze, w powietrzu, układając się w perski dywan, po którym kroczyłam, coraz spokojniejsza, jakbym o taki właśnie spokój zabiegała przez całe swoje życie, poddając się szarpającym huraganom, które nie zdołały wyrwać moich korzeni. Wracałam do czasów, w których przyszło mi wyrastać, wspominając swoją matkę, drobnolistną lipę, i jej zmagania, bym nie ugięła się, nie skrzywiła, jako młode drzewko, choć sama była drzewem rozłupanym w pół. O burzach, które nie szczędziły, z podpórką, słabości niemogącej okazać, bo i ja bym się powaliła, kornikom pozwalając się gryźć, toczyć, z przyzwoleniem, że inaczej być nie może. W cieniu drzewa, co samo słońca nie oglądało, trudno do słońca dosięgnąć konarami.

Zza drzew wyłoniła się postać, idąca w moją stronę. Kolejny szukający człowiek, pomyślałam, i rozpoznałam w niej kobietę, którą spotykałam często w czasie spacerów. Mijając mnie, przystanęła, i odezwała się. - Dziś mija rok, jak wyszedł, i do dzisiaj nie wrócił. Przecież nie zapadł się pod ziemię. Bo widzi pani, ja go już cały rok szukam. Chodzę po lesie, i drzew pytam, może coś widziały, ale one ze mną gadać nie chcą. Z nim chciały. Co on się z nimi nagadał, to sobie pani nawet nie wyobraża. Więcej niż ze mną. O żadną kobietę nie byłam tak zazdrosna, jak o te drzewa. Kto, jak kto, ale one muszą coś wiedzieć, toż to przecież one widziały go ostatnie. Najgorsza to jest niewiadoma, nic gorszego nie ma, może mi pani wierzyć. Jemu, codziennie kolacja wystyga, a one milczą jak zaklęte, i słowa od nich wydrzeć nie mogę. Ani krzykiem, ani po dobroci, uparły się, bo one uparte tak samo, jak i on. Widzi pani, ja zaraz po przebudzeniu, jak oczy otwieram, to belki wiszące w sypialni spozierają na mnie z sufitu, bo on je tam położył, i wpatrywał się codziennie, od lat, bo jak mówił, to jest pismo święte, z niego trzeba umieć znaki odczytywać, i czytał, mówię pani, czytał, bez ustanku, jakby nic innego do roboty nie było. Całymi godzinami te znaki tłumaczył, kreślił coś bez opamiętania, i cały przy tym rozgorączkowany, jakby Amerykę odkrył, a tu Grzybowo, proszę pani. Żadna tam Ameryka, a z niego żaden Kolumb, tylko Maciej mu było. A pani, co taka milcząca, nic nie mówi, jak te... Zamilkła w pół zdania, zmieniając się na twarzy.

Przepelniona szczęściem, aż po same korzenie, zaszumiałam delikatnie. Ptaki usiadły na moich rozłożystych ramionach, których rozpiętość otwierała się z ufnością na wszystko, co jawiło się wokół. Nic prócz wiatru mną już nie targa. Opuścili, jak spadające liście, troski i wolna od krępujących bolączek,

doświadczam cudowności istnienia. To ja. Nareszcie wyswobodzona. Oto jestem. W całej okazałości. W poszumie lekkości oddechu, stapiam się z otaczającym wszechświatem. Odnalazłam swoje Królestwo. Wiem już, że to nie las tworzy drzewa. To drzewa, tworzą las.

- Witaj. – Słyszę cichy pomruk. Poruszyły się liście na jego gałęziach, splatając z moimi. - Witaj Macieju.
- Szemram. - I na pewno wiesz już, że to nie świat tworzy ludzi. Jego szelest unosił się łagodnie w powietrzu. – To ludzie, tworzą świat.

Pod drzewem zasnęła zmęczona kobieta, z rozwiązaną, kolorową chustą, osuniętą na ramiona, obejmując pomarszczony pień rosnącego obok drzewa, w czułym uścisku.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

gotikamr, dodano 16.04.2015 20:22

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.